



WYDANIE DWUJĘZYCZNE
ILUSTROWANE

E. T. A. Hoffmann, H. Hoffmann

König Nußknacker und der arme Reinhold

*

Dziadek do orzechów



Pobierz
darmowy ebook



Ucz się
z Wymownią

Historia Dziadka do Orzechów

E. T. A. Hoffmann

Chrzestny Ojciec Świdrzycki

W pewnem mieście żył bardzo szanowny prezydent nazwiskiem Złotomirski.

Żona jego była naturalnie prezydentową. Państwo ci mieli dwoje dzieci. Dziewięcioletni syn nazywał się Staś, dziewczynka młodsza o rok nazywała się Marynia.

Była to ładna para dzieci, ale tak odmiennych twarzy i charakterów, iż trudno by się domyślić, że to brat i siostra.



Staś, zuch chłopak, pyzaty, z ciemną czupryną, tupiący, gdy mu się kto sprzeciwił, swawolny bardzo i przekonany, że cały świat istnieje tylko dla jego zabawy i przyjemności i nie odstępował od tego zdania dopóty, aż ojciec zniescierpliwiony jego krzykami i tupaniem nie wyszedł z swego pokoju, a podnosząc palec do wysokości zmarszczonych brwi — nie wymówił tych jedynych słów:



— Panie Stanisławie!

Wtedy Staś rad był schować się pod ziemię.

Marynia natomiast, szczupła, blada dziewczynka, z jasnymi włoskami, łagodna była i litościwa na wszystkie cierpienia, nawet na te, jakich doświadczały jej lalki. Posłuszna na skinienie matki, nie sprzeczała się nigdy z swoją guwernantką, panną Emilją, i kochaną była przez wszystkich.





Tymczasem nadszedł dzień 24-ty grudnia. Dzień upragniony, w którym Dziecię Jezus obdarza dzieci, dzieląc się darami, jakie otrzymało od Trzech Króli, zaświeca także gwiazdkę na choinkach na pamiątkę onej gwiazdy, co ich do żłóbka przywiodła. I choć rodzice mają też udział niejaki w tych przygotowaniach — to przecie skoro wszystkie dobra tego świata pochodzą od Jezusa, w dzień Jego urodzin dzieci Jemu wdzięczne być powinny.



Między dziećmi najhojniej obdarzonymi na gwiazdkę były dzieci prezydenta Złotomirskiego, gdyż oprócz rodziców miały jeszcze ojca chrzestnego, który zawsze o nich pamiętał. Nazywał się doktor Jan Kanty Świdrzycki.

Przykro mi, że nie mogę ojca chrzestnego, konsyljarza medycyny, nazwać przystojnym mężczyzną.

Wysoki, chudy, mocno przygarbiony, nosił na miejscu prawego oka czarny plaster. Był zupełnie łysy, zaradzał jednak temu nosząc perukę. Pozostałe zaś oko jego posiadało tak szczególniejszą bystrość, że zdawało się obejmować odrazu wszystkie najdrobniejsze szczegóły pokoju do którego wchodził i przenikać najskrytsze myśli osób na które spojrzał.



Ojciec chrzestny był konsyljarzem medycyny, zamiast jednak zajmować się dręczeniem ludzi w celu przedłużania im życia wedle wszelkich zasad nauki, oddawał się przeciwnie z zapalem nadawaniu życia osobom martwym. Wyrabiał mianowicie figurki, które chodziły, damy umiejące tańczyć i grać na fortepianie, szermierzy, którzy się bili na szpady, psy aportujące, latające ptaki, wkońcu doprowadził do tego, że jego lalki wymawiały niektóre wyrazy, jak papa i mama.

Nie tracił też nadziei, że zczasem potrafi wyrabiać prawdziwych ludzi, psy, ptaki i ryby, a ponieważ obiecał ofiarować pierwsze okazy tego rodzaju swoim chrześniakom, dzieci więc oczekiwały tej chwili z wielką niecierpliwością.

Prosta rzecz, że doszedłszy takiego mistrzostwa w mechanice, ojciec chrzestny był niezmiernie użyteczny dla swoich przyjaciół.



Skoro zegar jaki zaniemógł w domu państwa Złotomirskich, posyłano po chrzestnego ojca, który przychodził natychmiast jako artysta, miłujący swą sztukę nadewszystko. Zaraz kazał sobie przedstawić pacjenta, otwierał go, wydobywał kółka, brał go między kolana, a wpatrując się weń okiem badawczym, dobywał z kieszeni mnóstwo drobnych narzędzi własnego wyrobu i pomysłu. Następnie wybierał najostrzejsze i pogrążał je w wnętrzości zegara, nie zważając na żale Maryni, która nie mogła pojąć, żeby dotkliwe te operacje nie sprawiały bólu biednemu zegarowi.



Tymczasem po umiejętnem zastosowaniu środków, zegar powracał do życia i gdy go napowrót umieszczono w szafeczce, zaczynał chodzić, bić i ożywiał pokój, który bez niego zdawał się bez duszy.

Nie dosyć na tem. Na prośbę Maryni, której żal było patrzeć, jak pies kuchenny męczył się obracaniem różną, ojciec chrzestny raczył zstąpić z wysokości swej nauki i zrobił psa-automata, który odtąd bez trudu obracał różen, podczas gdy Turek jako emeryt grzał się beczynnem przy ognisku.

Stąd też Turek po domownikach najbardziej był przywiązany do konsyljarza Świdrzyckiego. Naszczekiwaniem i machaniem ogona zapowiadał jego przyjście, a na powitanie nie szczędził gwałtownych oznak radości.



Wieczorem w dzień wigilii Bożego Narodzenia, gdy się już zmierzchać zaczęło, Staś i Marynia siedzieli koło panny Emilji, która szyła przy oknie, pragnąc korzystać jeszcze z ostatnich błysków dnia.

Dzieci, przejęte uroczystością oczekiwania, tuliły się do siebie i rozmawiały półgłosem jak zwykle, gdy się ma w sercu niejakie wątpliwości.

— Rodzice pewnie zajęci naszym drzewkiem — rzekła Marynia — od rana słyszałam ruch w salonie.

— A ja po szczekaniu Turka poznałam — odparł Staś — że ojciec chrzestny już przyszedł.

— Mój Boże! — rzekła Marynia — co też on nam przyniesie, pewna jestem, że ogród z rzeką. Na rzece będą pływać łabędzie, a dziewczynka będzie je karmić cukierkami.

— Przedewszystkiem panna Maria powinna wiedzieć, że się łabędzie cukierkami nie żywią! — zawołał Staś zuchwałym tonem, za jaki go często łajano.

— Zdawało mi się — rzekła Marynia — ale ponieważ jesteś starszy, wiesz o tem lepiej ode mnie.

Staś zadarł nos do góry.



— Następnie — mówił dalej — sądzę, że jeżeli ojciec chrzestny nam co przyniesie, to pewnie fortecę z żołnierzami, armatami i armią nieprzyjacielską. Dopieroż to będą pyszne bitwy!

— Nie lubię bitew — odrzekła Marynia — jeżeli przyniesie twierdzę, to tylko dla ciebie; co do mnie proszę, abym mogła opatrywać rannych.

— Eee! — przerwał Staś — wiesz doskonale, że cokolwiek ojciec chrzestny przyniesie, to nie będzie ani dla mnie, ani dla ciebie, pod pozorem, że to są arcydzieła, odbierają nam zwykle te zabawki i zamykają je zaraz na najwyższej półce szklanej szafy, gdzie tylko tato może się dostać i to wślizgając się na stół. To też wolę zabawki, które dostajemy od rodziców, gdyż temi wolno nam bawić się, dopóki ich nie połamiemy w kawałki.

— I ja także wolę te — powiedziała Marynia — ale nie trzeba, aby ojciec chrzestny dowiedział się o tem.

— A to dlaczego? — oburzył się Staś.

— Dlatego, że toby go martwiło; dając nam zabawki, wyobraża sobie, że nam sprawia największą przyjemność, trzeba więc zostawić go w tem przekonaniu.

— Ale ot! — zawołał Staś, machnąwszy ręką.



— Marynia ma słuszość — ozwała się panna Emilja, która przemawiała tylko w ważnych okolicznościach.



— Słuchaj Stasiu, zgadujmy co dostaniemy — zawołała żywo Marynia, w obawie, aby Staś nie odpowiedział zuchwale na uwagę panny Emilji — ja nadmieniałam, że Różia, moja lalka, codzień robi się niezgrabniejszą, ciągle pada na nos i tym sposobem niemożliwa staje się w towarzystwie.

— Ja zaś — rzekł Staś — dałem tatkowi do zrozumienia, że jaki dzielny kasztan przydałby się do mojej stajni, również zwróciłem jego uwagę na to, że niema porządnej armji bez lekkiej jazdy i że brak mi szwadrona huzarów do dywizji, która zostaje pod moją komendą.



Na te słowa panna Emilja uznała za stosowne przemówić.

— Wiecie dobrze, że to Dzieciątko Jezus rozdaje dziś zabawki; nie wybierajcież sami, gdyż ono wie najlepiej, czego wam potrzeba.



— Aha! zapewne! — wpadł Staś — przeszłego roku przyniósł mi piechurów, kiedy potrzebowałem konnicy.

— Co do mnie — rzekła Marynia — jestem mu bardzo wdzięczna, gdyż oprócz lalki, której pragnęłam, dostałam jeszcze ślicznego gołąbka.

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Dzieci mówiły coraz ciszej i coraz bardziej tuliły się do siebie.

Zdawało się im, że słyszą nad sobą radosne trzepotanie anielskich skrzydeł, że dolatuje ich zdala nuta kolędy — w tej chwili jaskrawy blask mignął na ścianie, a dzieci pomyślały, że Dzieciątko Jezus Złożywszy ich zabawki w salonie, ulatywało na świetlistym obłoku do innych dzieci, które go równie niecierpliwie oczekiwały.

Jednocześnie dał się słyszeć głos dzwonka, a prezydentostwo wyszli i wzięli dzieci za ręce. Drzwi otwarły się naoścież i z salonu taki buchnął blask, że dzieci olśnione wykrzyknęły tylko:



— Ach!

— Chodźcie zobaczyć, co wam przyniosło Dzieciątko Jezus — rzekli rodzice.

Dzieci wbiegły do pokoju, a i panna Emilja, odłożywszy robotę, zdążyła za nimi.

Drzewko Bożego Narodzenia

Gdyby was kiedy zaprowadzono, moje kochane dzieci, do wielkiego magazynu zabawek i gdyby wam powiedziano: „Wybierajcie co chcecie!” wtedy bezwątpienia wpadlibyście w taki stan zachwytu, jakiego już nigdy w życiu nie doznacie. Tak było z Stasiem i Marynią, gdy ujrzeni choinkę, która zdawała się wyrastać z wielkiego stołu, nakrytego białym obrusem, obwieszoną złoconymi orzechami i jabłkami, oprócz fig, daktyli i cukierków, i oświetloną mnóstwem świeczek.



Na ten widok Staś wysoko podskoczył w górę, a Marynia rzuciła się mamie na szyję, aby ją uściskać i podziękować.



Ale radość wzmogła się jeszcze, gdy dzieci zabrały się do obejrzenia szczegółów. Marynia znalazła lalkę dwa razy tak dużą jak panna Róża i zachwycającą sukienkę na wieszadle umieszczoną, tak, że mogła ją obejść naokoło. Staś odkrył uszykowany na stole szwadron huzarów w czerwonych dołmanach z złotymi pętlami, na siwych koniach, podczas gdy uwiązany do nogi tegoż stołu, spinał się dzielny kasztan, którego tak mu do stajni brakowało.



Staś wskoczył natychmiast na konia zupełnie już osiodłanego i okiełznanego i objechałszy trzy razy naokoło drzewka Bożego Narodzenia, oświadczył zsiadając na ziemię, że jakkolwiek rumak dziki i nieujężdżony, pewny jest jednak, że wkrótce ujeżdży go jak baranka.



Ale w chwili, gdy zeskakiwał z konia, a Marynia nazwała swoją lalkę Klarcia, znowu się rozległ srebrny głos dzwonka, a dzieci zwróciły się ku kątowi pokoju, skąd dźwięk pochodził. Wtedy ujrzeni kąt zasłonięty chińskim parawanem, za którym słyszeć było jakiś szmer i muzykę, co pozwalało przypuszczać, że się tam dzieje coś nadzwyczajnego. Dzieci przypomniały sobie, że dotychczas nie widziały konsyliarza i jednym głosem zawołały:

— Ach! to ojciec chrzestny!

Na te słowa parawan, jakgdyby czekał na ten wykrzyknik, rozsunał się na dwie strony i ukazał nie tylko chrzestnego ojca, ale nadto — wspaniały pałac z mnóstwem zwierciadlanych okien i dwoma złotymi wieżami po bokach. Stał on wśród zielonej łąki zasłanej kwiatami.



W tej chwili zadzwoniono wewnątrz, drzwi i okna otworzyły się i dzieci ujrzały w oświetlonych pokojach mnóstwo małych pań i małych panów. Panowie pysznie ubrani w haftowanych frakach z szpadami u boku. Panie w jedwabnych sukniach, fryzowane, chłodziły się wachlarzami, jakby w istocie orzeźwiały twarz od gorąca.

W środkowym salonie, który zdawał się gorzeć od kryształowego żyrandola, obciążonego świecami, tłum dzieci tańczył przy dźwiękach muzyki. Chłopcy w kurtkach, dziewczynki w krótkich sukienkach. Jednocześnie w oknie przyległego gabinetu ukazywał się jakiś jegomość w pelerynie, dawał szczególniejsze znaki i znikał w tym samym czasie, gdy ojciec chrzestny z plastrem na oku, w peruce, podobny jak dwie krople wody, — ale wysoki tylko na trzy cale, wchodził i wychodził, jakgdyby zapraszał do siebie gości, używających przechadzki.



Zrazu dzieci nie mogły ochłonąć z radości i podziwienia, ale po kilku chwilach Staś, oparty dotąd łokciami na stole, wstał i zbliżywszy się, zawołał niecierpliwie:



— Dlaczego ojciec chrzestny zawsze wchodzi i wychodzi temi samymi drzwiami? To musi być bardzo nudne! Proszę teraz wejść tędy, a wyjść tamtemi drzwiami — i pokazał mu dwoje drzwi na wieży.



— To być nie może — odparł ojciec chrzestny.

— No, to wejdź na schody i stań w oknie na miejscu tego jegomości, a jemu powiedz, żeby zszedł na dół, tu do drzwi.

— I to niemożliwe, kochany Stasiu — rzekł konsyliarz.

— Jednak dzieci już się wytańczyły, teraz niech idą na przechadzkę — upierał się Staś.

— Nie masz rozgarnienia, mój drogi — zawołał ojciec chrzestny trochę zgniewany — jak mechanika jest urządzona, tak też musi chodzić.

— Kiedy tak, to ja chcę wejść do pałacu — rzekł Staś.

— Tym razem, to już pomysł szalony — rzekł prezydent — widzisz przecie, że to niepodobna, abyś wszedł do pałacu, skoro najwyższe chorągiewki zaledwie sięgają ci ramion. Staś umilkł uspokojony tą przyczyną, ale po chwili widząc, że panowie i panie ciągle się przechadzali, że dzieci nieustannie tańczyły, a jegomość w pelerynie pokazywał się i znikał w równych odstępach czasu, rzekł zniechęcony:

— Mój ojciec chrzestny, jeżeli wszystkie twoje figurki nic innego nie umieją, jak tylko zawsze jedno i to samo, jutro możesz zabrać je sobie, gdyż one mnie wcale nie bawią. Wolę mego konia, który pójdzie tam, gdzie ja chcę, moich huzarów, którzy musztrują się jak im rozkażę i mogą swobodnie się poruszać, nie tak, jak te biedaki, którymi mechanika tam i napowrót ciągle jednako wykręca.

